

Nowa bitwa warszawska

18 sierpnia 2012

“Nie róbmy ideologii z włamania! Policja jest od tego, by reagować, kiedy ktoś popełnia przestępstwo!” – zagrzmieli Wojtczuk i Machajski, dwaj dziennikarze Gazety Wyborczej, po przejęciu opuszczonego budynku zaniedbanej przychodni w centrum Warszawy. Wiceprezydent Paszyński, patron „kultury alternatywnej” i wysłany przez Ratusz dobry wujek skłotersów, pouczył zaś: “Pamiętajcie, wasza wolność kończy się tam, gdzie zaczyna się wolność kogoś innego.”

Zanim warszawscy skłotersi zniewolą społeczeństwo na obszarze całej stolicy – lub zostaną spałowani na polecenie gorliwych reporterów – zapytajmy: ile miejsca w Warszawie pozostało nam na realną dyskusję o charakterze miasta? Jak duża przestrzeń podlega jeszcze demokratycznej kontroli – tak, by mieszkańcy sami decydowali, ile chcą banków i biurowców, a ile – parków, drobnych usług, barów mlecznych i mieszkań. Słowem, na jakim gruncie dywagujemy o naszej wolności? Wojtczuk z GW pisze: “Jest mnóstwo miejsc, w których mogą się realizować ludzie niezamożni. Lecz musi się im chcieć ich poszukać.” Szukajmy więc!

WOLNOŚĆ? NA JAKIM GRUNCIE?

W istocie, z natury rzeczy, a także z konkretnych ustaw wynika, że “gmina jest wspólnotą mieszkańców – jej samodzielności nie można utożsamiać tylko i wyłącznie z samodzielnością jej organów”. W teorii więc to mieszkańcy decydują o kształcie miasta. Jak jest w praktyce?

Zaniedbany teren przychodni w centrum Warszawy, zajęty przez grupę mieszkańców, tak jak opuszczona sąsiednia kamienica, zajęta rok wcześniej (dziś skłot Syrena), odzwierciedlają kluczowe problemy miasta.

Oba okupowane dziś budynki objęte zostały roszczeniami

prywatnych osób lub firm. Kamienica Syreny przy ul. Wilczej jest już w prywatnych rękach – lokatorów wyrzucono, deweloper planował zburzyć kamienicę i zbudować apartamentowiec z podziemnym garażem. Teren za płotem Syreny – przychodnia – ma zostać wkrótce oddany i zmienić swoje przeznaczenie na bardziej dochodowe. Taki stan nie jest wyjątkiem na mapie Warszawy: tzw. reprywatyzacja obejmuje 97% reszty przedwojennej powierzchni stolicy – w ręce prywatne może trafić nawet 24 tys. działek. Wartość miejskich terenów, które oddaje ratusz, szacuje się na 40 mld zł – koszt 4 nowych linii metra. Dotąd, jak wynika z wyliczeń samorządu, oddano już 2,5 tys. działek, drugie tyle objęto roszczeniami. Jak szczerze wyraził pewien urzędnik, w sumie 40 mld zł “leży zamrożone pod ziemią” – boiskami szkolnymi, parkami, kamienicami itp. Żeby wykopać miliony, trzeba jednak najpierw wykopać ludzi.

Problem bowiem właśnie w tym, że na owych terenach od lat mieszkają tysiące rodzin, żyjących w odbudowanych po wojnie kamienicach, korzystających ze skwerów, parków, uczniowie szkół wraz boiskami, które ratusz planuje zwrócić za stuprocentowym odszkodowaniem lub w naturze. Działki wyceniane są według dzisiejszych stawek rynkowych, mimo że to mieszkańcy Warszawy najczęściej własnymi siłami wzniesli tysiące kamienic z gruzów – po wojnie stolica była bowiem pobojowiskiem.

MIĘSNA WKŁADKA

Pozostałe kraje post-socjalistyczne załatwiły problem roszczeń systemowo, szanując prawa mieszkańców: spadkobiercy lub firmy, które skupiły od nich roszczenia mogą liczyć najwyżej na częściowe odszkodowanie finansowe. W Polsce jest inaczej co najlepiej widać w Warszawie: nie czekając na ustawę regulującą reprywatyzację, ratusz zdecydował się oddawać miejskie działki bez względu na prawa i potrzeby mieszkańców. Tego rodzaju reprywatyzacja najbardziej odbija się na kondycji życia mieszkańców lokali czynszowych, którzy są przejmowani wraz ze swoją kamienicą niczym towar, “wkładka mięsna”: prywatny inwestor ma często inne plany wobec budynku, zaczyna więc

nękać mieszkańców: podwyższa czynsz do niebotycznej stawki (nawet 99 zł za metr), wpędza w zadłużenie, odcina prąd, wodę, gaz, w końcu – eksmituje. Wielokrotnie odbywa się to z naruszeniem prawa – kamienicznicy łamią ustawę o ochronie praw lokatorów wyrzucając ludzi nawet bez wyroków eksmisyjnych. Nierzadko też nowi właściciele posuwają się do bezpośrednich gróźb wobec “opornych” lokatorów: historie uporczywego nękania całych rodzin znane są niemal na każdej ulicy na Pradze, Śródmieściu, Ochocie, Mokotowie, Woli. Najbardziej dobitnym przejawem odczłowieczenia ludzi, którzy trafiają w ręce prywatnych profesjonalistów, jest tragiczna historia Joli Brzeskiej: działaczki lokatorskiej i mieszkanki kamienicy przy ul. Nabielaka – ostatniej lokatorki, z którą nie mógł sobie poradzić właściciel tej i parudziesięciu innych kamienic, Marek Mossakowski. Jola Brzeska została porwana 1 marca 2012 r. i spalona żywcem w Lesie Kabackim w Warszawie. Warto pamiętać, że dużo wcześniej Brzeska sygnalizowała policji przejawy jej nękania: zakłócanie ciszy nocnej, próby włamania (kamienicznik użył nawet szlifierki kątovej, by wyciąć blokady drzwi do mieszkania Joli). Lokatorka apelowała także do miasta, by wsparło ją jakkolwiek w obronie przed grupą Mossakowskiego – bez skutku.

Po tragicznej śmierci Brzeskiej, która jest uwieńczeniem logiki “darwinizmu społecznego”, wolnej amerykanki, zupełnie dzikiej formy kapitalizmu aprobowanej przez ratusz, coraz więcej mieszkańców zdaje sobie sprawę z efektów deficytu demokracji, braku realnego wpływu na swój los i charakter swojego miasta.

PROBLEMEM NIE JEST BRAK MIESZKAŃ

Według świeżego raportu NIK na temat konstytucyjnych i ustawowych zobowiązań samorządów w polityce mieszkaniowej: „W Polsce brakuje 1,5 mln mieszkań i stan ten nie zmienia się od 10 lat. Konieczność wycofania z użytku ze względu na stan techniczny ok. 200 tys. mieszkań dodatkowo pogłębi ten deficyt. Ponadto z rządowych analiz wynika, że 6,5 mln Polaków

mieszka w warunkach tzw. nędzy mieszkaniowej – nie odpowiadających przyjętym normom i standardom”.

Wszystkie te informacje są zbieżne z obserwacjami i doświadczeniami mieszkańców Warszawy – poza jedną: problemem nie jest tyle brak mieszkań, co ich cena i zagospodarowanie.

Według szacunków poprzednich władz Warszawy, w domenie miejskiej na samym śródmieściu jest 750 pustostanów. Należy do tego doliczyć ok. 3 tys. pustostanów w budynkach już sprywatyzowanych. Jednak okazuje się, że najwięcej lokali świeci pustkami w nowych blokach. Instytut Ekonomiczny NBP szacuje, że w latach 2009-2010 liczba pustych lokali na rynku pierwotnym się nie zmieniła, wynosząc całe 25 tys. W dodatku, jak wyliczają prywatne agencje, jak REAS, właściciele 7,5 tys. mieszkań w 2008 r. to nie mieszkańcy szukający dachu nad głową, a inwestorzy – często firmy kupujące nawet po kilkanaście lokali na spekulacje.

W taki oto sposób, „mieszkanie” – element uznany przez konstytucję za podstawowe prawo człowieka – staje się czystym towarem, często będąc używane niezgodnie z pierwotnym przeznaczeniem, a właściwie po prostu nieużywane.

Wobec braku alternatywy w postaci wystarczającej liczby mieszkań czynszowych, ceny prywatnych mieszkań szybują, rośnie bańka spekulacyjna, a wraz z nią – liczba pustostanów oraz ludzi bez dachu nad głową. W sumie, pustych mieszkań w Warszawie jest więc ok. 36 tys. Na większość z nich ludziom brakuje pieniędzy – inne, jak unikalne, przedwojenne kamienice mieszkalne, zmieniają się w biurowce i apartamenty dla nielicznych.

DYSCYPLINA PRZEZ NĘDZĘ MIESZKANIOWĄ

Mieszkanie jest powszechnie uznane za podstawowe prawo człowieka, ponieważ jego brak kwestionuje szereg innych praw: bez niego człowiek nie jest pełnoprawnym obywatelem. Rzucając mieszkania na wolną amerykanke, spekulacje, masowe

prywatyzacje, podkopuje się możliwość pełnego udziału ich mieszkańców w życiu i otoczeniu, zniewala się ich. Gdy jedyną oferowaną nam gwarancją w życiu jest dług zaciągnięty na 40 lat, musimy imać się każdej śmieciowej pracy, żywić się najśłabszej jakości posiłkami, rezygnować z naszych życiowych pasji i udziału w tworzeniu otoczenia.

Właśnie dlatego, wbrew słowom władz Warszawy i niektórych dziennikarzy, to nie my zwykliśmy naruszać wolność kogoś innego okupując te opuszczone rudery – co jest doprawdy niczym wobec tysięcy kamienic i parków oddawanych przez władze za darmo. To nam odebrano wolność wyboru, w jakim mieście chcemy żyć. W końcu, to nie my wchodzimy na czyjś teren bez pytania – to nas, „przaśnych”, bez pytania usuwa się poza horyzont, by stworzyć miejsce dla komercyjnej pustyni.

Dlatego też okupując pustostany w aktach protestu wobec zapędów miasta-firmy, a także blokując eksmisje, prywatyzacje i zabudowy skwerów, walczymy o podstawowe prawa. Wchodząc do pustostanu, wychodzimy z narzuconej nam nieludzkiej i anty-społecznej logiki. Wbrew opiniom niektórych, wchodzimy do pustostanów nie po to, żeby coś z nich wynieść, ale przeciwnie – żeby coś wnieść. Tym czymś jest duch twórczego oporu wobec systemu, który dostrzega w nas tylko kapitał, względnie – śmieci.

Jeśli celebrowana przez władze „postawa obywatelska” możliwa jest dziś przede wszystkim podczas okupacji i stale kryminalizowana, tym gorzej dla władz. Historia uczy bowiem, że wszystkie rządy „prawa”, które brukały podstawowe prawa człowieka, okazały się tymczasowe. Także dziś, rozwiązania proponowane przez władze Warszawy, jak również same te władze, mogą się okazać bardziej tymczasowe niż skłoting.

Autor: Adam Pstry

Źródło: [Le Monde diplomatique – edycja polska](#)